

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 96.

ADAM ASNYK

(El...y).

WYBÓR POEZJI

WYDANIE NOWE



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA



582

Asn
Nyb

BIBLIOTEKA

Ranek w górach.

Wyzłoczone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.
 W dole — lasy, skryte w cieniu,
 Toną jeszcze w mgłę perłowej,
 Co w porannem oświetleniu
 Mknie się zwolna przez parowy.
Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęczka wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada;
 A z pod sinej tej zasłony
 Świat przegląda coraz szerzej,
 Z nocnych, cichych snów zbudzony,
 Taki jasny, wonny, świeży.
Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą;
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask sływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie, —
Cudowności świat się piętrzy
W wyłóconej swej koronie.
Góry wyszły jak z kąpieli,
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli
W tem powietrzu przezroczystem.
Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.
Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza, —
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.
Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorok sinej tarczy, —
Już pokrajał rąbek lasu,
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny, — a z szalasu
Dolatują śpiewne echa...
Przez zielone łąk kobierce
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz sływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.
Piers się wznosi, pierś się wzdyma
I powietrze chciwie chwyta, —
Dusza wybiedz chce oczyma,
Upojona, a nie syta, —

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zakłęcia,
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

Ulewa.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi,
Króluję w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędzi.
Rozpostarł z mgły utkany płaszcz,
I rosę z chmur wyciska, —
A strugi wód wilgotnych paszcz
Spływają na urwiska.
 Na piętra gór, na ciemny bór
 Zasłony spadły sine,
 W deszczowych łzach, granitów gmach
 Rozpłynął się w równinę.
Nie widać nic: błękitów tło
 I całe widnokręgi
Zasnute w cień, zalane mgłą,
 Porzniete w deszczu pręgi.
 I dzień, i noc, i nowy wschód
Przechodzą bez odmiany —
 Dokoła szum rosnących wód
Strop niebios ołowiany.
I siecze deszcz, i świszcze wiatr,
 Głośniej się potok gniewa,

Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr
Dokoła grzmi ulewa.

Letni wieczór.

Już zaszedł nad doliną
Złocisty słońca krąg —
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,
Daleki słyhać śpiew,
I cichy szelest rosy
Po drżących liściach drzew.

Promieni gra różana
Topnieje w sinej mgle,
A świeży zapach siana
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,
Z gasnącym blaskiem zórz,
Cicha poezya światów
W głąb ludzkich sływa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór,
Nocnemi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcze chmur.

I wiążą swoje skrzydła,
Podarty kryjąc stok,
Jak senne malowidła,
Powoli toną w mrok.

Wieczoru blask niepewny
Oświetla obraz ten —
Ludzie w zadumie rzewnej
Gonią piękności sen.

Noc w górach.

Noc króluje — na głowę kładzie gwiazd dyjadem;
Przez błękity przesiąka niepewna i drżąca
Jasność jeszcze skrytego dla oczu miesiąca;
Mgły ulatują w górę śnieżnych chmurek stadem.

Wszystko topnieje w świetle niebieskiem i bladym,
I ciemność nad otchłanią chwieje się wisząca.
Księżyc przez skał szczelinę wstał nad wodospadem,
Srebro leje i w przepaść wraz z falami strąca.

Zwolna cała kotlina z śpiących wód topielą
Wynurza się, jak obraz czarodziejskiej księgi...
Wybrzeża przeraźliwym odbłaskiem się bielą,

Jakby pokryte zmarłych śmiertelną pościelą;
Czarne wody w płomienne rysują się pręgi,
Przypominając piekiel dantejskie okręgi.

Piękny jest ten świat.

Urywek.

Pięknym jest ten gaj,
Piękną jezior toń,
Piękny świeży maj,
Co roznosi woń;
 Piękny jasny dzień,
 Co blask złoty śle,
 Piękny nocy cień
 Na błękitów tle;
Piękny cały świat,
Piękny wzdłuż i wszerz;
Piękny każdy kwiat,
Każdy ptak i zwierz;
 Piękny słońca wschód,
 I rumieniec zórz:
 Świat jak jeden cud,
 Piękny wszerz i wzdłuż!

Słonko majowe.

Urywek.

Słonko majowe
Ze snu już wstaje,
We mgłach różowe
Wyzłaca gaje, —
Przez chmur koronkę
Patrzy ciekawie,

Biegnie przez łąkę
Kąpać się w stawie;
Promyki drżące
Po drzewach wiesza
I budzić śpiące
Kwiatki pośpiesza;
Ukradkiem, z cicha
Pączki rozwija
I wlot z kielicha
Rosę wypija.

O, ileż blasku!
Jakże uroczo
W pobliskim lasku
Ptaszki szczebiocą!
A z tego drzewa,
Co pod oknami,
Słowiczek śpiewa
Pieśń nad pieśniami.
Piosenka płynie
Dalekiem echem;
Chaty w dolinie
Wtórzą jej śmiechem...
Wszystko się budzi,
Do zajęć wraca;
Ożywia ludzi
Radość i praca.

Na śniegu.

Białą się pola, oj, białą;
Zasnęły krzewy i ziola
Pod miękką śniegu pościelą —
Biała pustynia dokoła.
 Gdzie była łączka zielona,
 Gdzie gaj rozkoszny brzozowy,
 Drzew obnażone ramiona
 Sterczą z pod zasy śniegowej.
Opadła weselna szata,
Zniknęły wiosenne czary,
Wiatr gałązkami pomiata,
Zgrzytają suche konary.
 Tylko świerk zawsze ponury,
 W tym samym żalobnym stroju,
 Wśród obumarłej natury
 Modli się, pełen spokoju.

W zimnej nocy.

Idzie z piosenką na ustach
Przez śniegu zasy zimowe —
I nie wie, gdzie mu wypadnie
Na nocleg położyć głowę.
 Choć noc już ziemię pokrywa,
 A wszędzie pustka wokoło —

On w swej samotnej wędrowce
Bez trwogi idzie wesoło.

Patrzy na pola zmrużone,
Na cieniem pokryte drzewa,
I nie przerywa piosneczek,
Lecz dalej tak sobie śpiewa:

»Tyś mi nie straszna, o nocy!
Chociażesz mroki rozsiała
Tak gęste, jakbyś na zawsze
Nad światem panować miała;

»Bo wiem, że musisz niedługo
Przed słońcem uciec w otchłanie, —
A dla tych, co się obudzą,
Zabłyśnie nowe świtanie.

»Ty mi nie zmroisz, o zimo,
Serdecznych moich nadziei!
Choć ziemię pokrywasz martwą
Całunem śnieżnej zawiei.

»Pomimo groźnej twej władzy,
Nie mogę zwątpić, że z wiosną,
Jeżeli nie mnie, to innym
Znów świeże kwiaty wyrosną.

»Ty mnie nie zwiedzisz tak łatwo
Pozornym chłodem — o miła! —
Choć mnie odpychasz za życia...
Choćbyś mnie wzgardą zabiła;

»Bo wiem, że prędzej, czy później,
Chwile niechęci przeminą:
Po śmierci kochać mnie będziesz,
Moja ty piękna dziewczyno!

»Wy także, ludzie, przede mną
Próżno uczucia kryjecie:

Nie dam się złudzić pozorom,
Że serc zabrakło na świecie.
»Jak tylko tchnienia cieplejsze
Czar dawnych uniesień wskrzeszą,
Po śmierci kochać mnie będziesz
Ty, chłodna, milcząca rzeszo!«

Pan Jezus chodzi po świecie.

O! nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki, —
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.
Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatków wianeczki zwija;
Szczęśliwym uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca — i mija.
Lecz gdy sierotkę napotka
W chacie zwalonej od gromu,
Natenczas zjawia się słodka
Twarz Jego na progach domu...
I Boskie wyciąga dłonie,
Aby przytulić sierotę;
Niesie jej blaski i wonie,
Kwiatki niebieskie i złote.
A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynej twarzy.

I w sercu nabrzmiałem łzami
Wciąż pączki wypuszcza świeże...
Jasnemi niebios barwami
Duszę sieroty ubierze.
A każdy kwiatusek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia
I lśni nad czołem sieroty
Iskrą czystego natchnienia:
Choć pójdzie drogą boleści,
Choć nie zna rodzinnej strzechy —
W swych piersiach dziedzictwo mieści,
Pełne niebiańskiej pociechy.
Więc nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa po łąkach kwiatki.

Ciche wzgórze.

Znam ja jedno piękne wzgórze,
Na niem kwitną przy figurze
Przezroczyście polne róże.
Boża Męka pochylona
Patrzy z ciszą i spokojem,
W świat wyciąga swe ramiona
Ponad ziemskim krwawym znojem.
Jak tam słodko, jak tam błogo!
Niedotknięte bólem, trwogą,
Serca w niebo płynąć mogą;

Tęsknych dumań nic nie zmać, —
Cichnie ludzkiej głos boleści...
Chyba wietrzyk listkiem trąci,
Lekko, śpiewnie zaszeleści...
Kiedy słońce z nieba schodzi
W swoim złotem tkanej łodzi,
W purpurowych fal powodzi —
 To nad wzgórkiem twarz swą zniża,
 Pożegnalnym blaskiem strzela
 I całuje stopy krzyża,
 Święte stopy Zbawiciela.
Pod tym krzyżem w pierwszej wiosnie
Z polną różą, co tam rośnie,
Wyglądałem w świat radośnie.
 Pod tym krzyżem w ranek jasny
 Na mogile kwiaty rwałem, —
 Z tego wzgórza zagon własny
 Raz na zawsze pożegnałem.
Więc choć lat już przeszło tyle,
Myślą wracam w dawne chwile —
Siąść pod krzyżem na mogile:
 Chcę usłyszeć znów o zmroku
 Pieśń nabożną tego ludu,
 Co się modląc ze łzą w oku,
 Oczekuje zawsze cudu...

Słonko.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote:

Szło nad gajem, szło nad łąką —
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: — »Tak wesoło
Świecisz światu, słońko moje,
Uśmiechami sypiesz wkoło,
Gdy ja smutny we łzach stoję.
»Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą...
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczę«.

Słońko na to: — »Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myślę świecie
I o ludzi ciężkich losach;
»Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną:
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając, co kazano.

Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trza polecić —
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść... i świecić!

Szczęśliwa młodość.

Szczęśliwa młodość!... nawet smutki
Zaprawne ma rozkoszą;
Dzień szczęścia długi... żalu — krótki;
Łzy ulgę jej przynoszą.



Szczęśliwa młodość!... swe boleści
W słowicznym odda śpiewie,
I echem własnych skarg się pieści,
I o swem szczęściu nie wie!

Baśń tęczowa.

Od kolebki biegła za mną
Czarodziejska baśń tęczowa
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zaklęć słowa.

Urodzona nad wieczorem
Z cichych gawęd mych piastunek,
Spała ze mną, na mych ustach
Kładąc we śnie pocałunek.

I budziła się wraz ze mną,
I wraz ze mną ciągle rosła,
I z kołyski na swych skrzydłach
W jakiś dziwny świat mię niosła...

Ponad morza purpurowe,
Ponad srebrne niosła rzeki,
Po zwodzonym moście tęczy
W cudowności świat daleki...

Otworzyła mi zaklęciem
Brylantowy w skałach parów —
I wkroczyłem raz na zawsze
W kraj olbrzymów, widm i czarów;
I zamknęły za mną wrota
Jakieś wróżki, czy boginie:

Więc na całą życia kolej
Szedłem błędzić w tej krainie.
W tej krainie, w której wszystko
Ożywioną bierze postać,
W której każdy głaz ma duszę
I człowiekiem pragnie zostać...
Złotolistnym szedłem gajem,
Gdzie się wszystko skrzy i złoci,
Gdzie zakwita, skryty w cieniu,
Tajemniczy kwiat paproci.
Szedłem gajem, gdzie dokoła
Śpiewające szumią drzewa,
Gdzie młodości wieczne źródło
Czyste wody swe rozlewa.
I witały mię po drodze
Rozmarzone oczy kwiatów,
Co patrzyły tak wymownie
W niezmierzoną przestrzeń światów.
I witały ludzkim głosem
Różnobarwnych ptasząt chóry,
Ukazując dalszą drogę
I przepaści brzeg ponury.
Ja słuchałem śpiewnej wróżby
I z ożywczej piałem fali,
I w głąb dzikszej coraz puszczy
Niestrwożony szedłem dalej.
Próżno groźne widma straszą,
Próżno kłęby gadzin syczą:
Biegnę naprzód, zapatrzone
W jakąś jasność tajemniczą.
I przebyłem czarne puszcze,
I spienionych wód odmęty,

I stanąłem u stóp góry,
Prostopadle na dół ściętej.
Na jej szczycie błyszczał zamek,
Kryształowy gmach olbrzyma,
Co zakłębem w swojej mocy
Najpiękniejszą z dziewic trzyma.
Przed zamczyskiem stoją smoki...
I te paszczą swą czerwoną
Ogień złoty i różowy
Pod obłoki w górę zioną.
Swe spiżowe jeżąc luski,
Bronią skarbu zakłębego;
Najpiękniejszej z wszystkich dziewic
W kryształowym zamku strzegą.
Jednak, mimo czujnej straży,
Jam ją ujrzał na skał szczycie
I odgadłem, żem tu przybył,
Aby dla niej oddać życie...
Miała gwiazdę na swem czole,
Pod nogami sierp księżyca,
Błękit nieba w jasnych oczach
I aniołów cudne lica;
I odrazu swem spojrzaniem
Zaszczepiła miłość w duszę:
I poznałem, że koniecznie
Do niej w górę dążyć muszę.
Więc po nagiej, gładkiej ścianie,
Zapatrzony tylko na nią,
Na powojów wiotkich splotach
Zawisnąłem nad otchłanią.
Coraz wyżej pnąc się hardo,
Już widziałem ją przy sobie...

I w zachwycie do królewny
Wyciągnąłem ręce obie.
Miałem chwycić ją w objęcia...
Gdy powojów pękły sploty —
I upadłem w głąb otchłani,
Gdzie z ran ginę i tęsknoty.
Lecz choć z serca krew upływa,
Choć w przepaści ciemnej leżę,
Jeszcze wołam: »Za nią! za nią!
Idźcie gonić, — o, rycerze!
»Idźcie pięć się w górę, w górę!
Ponad ciemnych skał krawędzie.
Może przyjdzie kto szczęśliwy,
Co ją weźmie i posiędzie.
»Choć nie dojdzie — chociaż padnie,
Przecież życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza częśćka życia
W takiej walce i pogoni.
»Warto choćby widzieć z dala
Ów zaklęty gmach z kryształu;
Warto, płacąc krwią i bólem,
Wejść w krainę ideału.
»Gdyby przyszło mi nanowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi
Za tą piękną na błękicie!«

Szkoda.

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni —
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni;
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni;
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą;
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać;
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia...
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.

Do młodych.

Do młodych

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg!
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia,
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśnicie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzenie z błękitów — *do rymu*
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytyłów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach:
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele —
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wzniesć:
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży —
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi:
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

Mgławice.

Rozsiane w światów przestrzeni,
Kosmiczne spływają mgły —
W smugi przejrzystych pierścieni,
W obłoczek wiążą się mdły.

Pośród gwiazdzistych łabędzi,
Gwiazdzistych węzów i lir,
Moc wieczna w przyszłość je pędzi,
W powszechny wprowadza wir.
 Świetlanym zwojem się wznosi
 Tych nikłych cząsteczek rój...
 Szukają wspólnej swej osi,
 By obrót rozpocząć swój. —
I tak się męczą i chwieją
I lotny skupiają pył,
By zbić się z czasów kolejną
W szeregi ognistych brył;
 Przez długie męczą się wieki,
 Chcąc zdobyć wewnętrzny ład:
 Dzień jeszcze bardzo daleki,
 Gdy nowy z nich wyjdzie świat.
Lecz będą kolebką jasną
Nowych żywotów i sił,
Gdy nasze słońca pogasną,
W kosmiczny zetrą się pył.

* * *

W ludzkiego ducha przestworzach
Podobnie wiąże się mgła,
Rzucona w odległych zorzach
Na niebios błękitne tła.
 Mgły marzeń płyną po niebie,
 Do nikłych podobne smug,
 Szukają kształtów dla siebie,
 Szukają dla siebie dróg.

Chcąc tkanę swoją pajęczą
W ciał szereg promienny zbić...
Chwieją się, ważą i męczą,
By mogły w przyszłości żyć.
Przez wieki cienie tych mgławic
Skupiają cząsteczki swe
I czasem światłem błyskawic
Zgęszczoną oświecą mgłę.
Przez wieki krążą tak marnie,
Czekając na przyszły świt,
Który za wszystkie męczarnie
Słoneczny nada im byt.
I przyjdzie czas ten, gdy one
Po długim upływie lat,
Zastąpią dawne, zburzone,
I nowy utworzą świat.

Światła.

Niebieskie światła po drżącym eterze
Ślą jasność swoją w bezbrzeżne otchłanie,
A nikt nie dojdzie, skąd się blask ich bierze,
I jak się w ciemność rozprasza świtanie?
I nikt nie zbada, co? i w jakiej sferze
Z tej promienistej wędrówki powstanie?
Lecz moc nie zginie, i promień skrzydlaty
Do życia nowe powołuje światy.

Tak samo światła ludzkich dusz, co płoną
I ponad ziemią znaczą drogę jasną,

Gdy promieniami w nieskończoność toną,
Chociaż się w ciemność rozproszą, nie zgasną,
Ale dalekiej przyszłości znikną
Przekazą siłę i słoneczność własną...
Aż z owych blasków, rozpiechłych w przestrzeni,
Nowa jutrzienka ludzkość opromieni.

Bóstwo tajemnicze.

Na chmurnym szczycie góry
Kamienne jest oblicze;
Świątyni kryją mury
To bóstwo tajemnicze.
Składają mu ofiary
Zastępy wiernych sług —
Przez dym kadzideł szary
Poczerniał stary bóg.
Twarz jego skryta w cieniu,
Przyćmiona wieków pleśnią —
I stoi tak w milczeniu,
Wielbiony ludu pieśnią...
Aż nagle tłum zdziżały
Pożogę wpada nieść;
Chce burzyć ołtarz chwały,
Niweczyć dawną cześć!
Są już w świątyni progu
I łamią wszelki opór;
Grożą staremu bogu,
Wstrząsając młot i topór.

Kapłani wznoszą dłonie —
W ich sercach ból i gniew...
W świętości swych obronie
Gotowi przelać krew...

I modły ślą: »O Panie,
Swej mocy pokaż cud:
Bluźnierców strąć w otchłanie,
Niewierny ukarż lud!«

I biorą oręż w ręce...

Wtem bóstwo na głos rzecze:

»Ja dziś mój tryumf święcę,

Więc wy schowajcie mieczel

»Nie trzeba mi obrony,

Ani cudownych sił:

Niech burzy tłum szalony

Tę postać, którą czcił!

»Ja pomsty nad winnemi

Nie daję w dłoń nikomu:

Nie chcę pomocy ziemi,

I nie chcę niebios gromu.

»Niech wznoszą swoje młoty,

Rzeźbiony krusząc kształt —

Gdyż boskiej mej istoty

Nie zniszczy żaden gwałt.

»W minionych wieków ciągu

Nieraz już ludu złość

Mściła się na posągu;

Cierpiałem gwałtów dość.

»I nieraz dzikie zgraje

Wydały mnie požodze:

A zawsze większy wstaje,

Piękniejszy z ruin wschodzę!

»Mnie topór nie powali,
Chociaż rozbija głaz,
Lecz kształt mój doskonali
Každy zadany raz.

»Zniszczenie mnie odmładza,
I ogień mnie oczyszcza;
Padając, moja władza
Wyrasta silniej z zgliszcza...

»I zgina znów kolana
Przedę mną cały lud...
A ciąęła ta przemiana —
To mój największy cud«.

Nad przepaścią.

Skrócone.

Z przepaści ciemne widmo wstało...
I na urwisku stromem
Wędrowca w drodze zatrzymało
Bezkształtnym swym ogromem.

Przyszło go trwożyć grozną mocą.

Co ludzkie serca gębi:

Unicestwienia głuchą nocą,

Próżnią bezdennej głębi.

I zasłoniwszy błękit, rzecze:

»Nic ciebie nie ocali:

Z tego rozdroża, o człowiecze,

Już niema wyjścia dalej!

»Próżno, naprzekór twardym losom,

Zmierzałeś wciąż do szczytu,

I próżno chciałeś kraść niebiosom
Zagadkę swego bytu.
»Szalona pycha ciebie zwiiodła:
Myślałeś, że bez końca
Będiesz nieść w górę ludzkie godła,
Do prawdy zdążać słońca...
»Wiedz, że nie może nikt bezkarnie
W bezdenną toń spojierać —
I musisz wszystkie przejść męczarnie,
I zwątpić... i umierać...«
A człowiek na to: »Marny cieniu,
Coś postać wziął olbrzyma,
Idę ku swemu przeznaczeniu,
I nic mnie nie zatrzyma.
»Do góry, naprzód, wciąż przez wieki,
Z tem światłem, co mi dano,
Muszę w przyszłości kraj daleki
Za jutrznią biedz różaną;
»Muszę zdobywać, krok za krokiem
Zdążając wiecznie za nią;
Na stromych ścieżkach walczyć z mrokiem
I chwiać się nad otchłanią.
»Niejedne widma przychodziły,
By wieść mnie na bezdroże;
Niejeden sen mnie wabił miły
Na kwiatów miękkie łoże...
»Spędziłem wszystkie mary piękne,
By prościej iść do celu:
I ciebie teraz się nie zleknę,
Posepny kusicielu!
»I ty ustąpić musisz z drogi:
Zwodnicza twa potęga!

Ponad nicestwa ciemne progi
Duch ludzki wyżej sięga!«

Dwa anioły.

Dwa anioły spotkały się w locie
Ponad ziemią, wśród błękitnych mórz:
Jeden płynął w purpurze i złocie,
Miał wejrzenie jakby rannych zórz;

Drugi w czarnych aksamitach tonął,
Lecz brylantem świecił jego wzrok,
A na głowie wieniec z gwiazd mu płonął
I rozjaśniał nieskończony mrok...

»Wracam z ziemi — rzekł pierwszy z aniołów —
Gdziem w ogrodzie życia kwiaty siał,
Rozdmuchiwał płomienie z popiołów
I przyspieszał nowy rozkwit ciał.

Tam widziałem w ciemnej nieszczęść nocy
Dwóch serc czystych krwawy z losem bój,
Dwojga istot gorzki ból sierocy,
Ich samotny, ciężki życia znój.

Więc zbliżyłem dwie niedole z sobą...
I miłości owiałem je tchem...
A z dwóch smutków, nad dawną żalobą,
Szczęście rajskim wykwitnęło snem!«

»Ja — rzekł drugi w gwiazdzistej koronie —
Wracam także z owych ziemskich pól,
Gdzie na chorych sercach kładłem dłonie...
I na zawsze koilem ich ból.

Tam spotkałem, pomiędzy innemi,
Jedną duszę szlachetną, bez plam —
I kochałem tego syna ziemi,
Co pięknnością dorównywał nam.

Lecz dojrzałem, że w żywota męce
Zaczął chwiać się.. rdzy dostrzegłem ślad,
I strwożony, wyciągnąłem ręce,
By, padając, nie poplamiał szat.

I miłością prowadzony czystą,
Jak najciszej zbliżyłem się doń:
Zarzuciłem zasłonę gwiazdzistą
I na sercu położyłem dłoń.

W mych objęciach on teraz bezpieczny,
Bo już władzy nie ma nad nim czas —
I zostanie w swej piękności wiecznej,
Niedotknięty żadną z ziemskich skaz«.

Podczas burzy.

Dołem wicher ciężkie chmury niesie,
O skaliste roztrąca urwiska,

Burza huczy po szerniałym lesie
I gromami w głąb wąwozów ciska:
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,
Lśnią pogodne jak dawniej błękity.

Ach! tak samo na drogach żywota:
Nieraz burza szaleje nad głową,
Wicher nami nad przepaścią miota,
A grom ciemność oświetla grobową;
Jednak wyżej — widać błękit nieba...
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

Wiem przetrwać (rom. - 1074)

Ucisź się, serce!

Urywek.

Ucisź się, serce! — swoich strat
Już nie oplakuj, stroskane,
Ale wschodzący pozdrów świat
I jego jutrznie różane.

Błogosław nowym życia dniom,
Temu, co wschodzi i rośnie,
Świeżym nadziejom, świeżym snom,
Świeżej młodości i wiosnie.

Pozdrów pokoleń przyszłych ród,
Ich myśli, pragnienia, cele,
Kwiat nowych uczuć, nowych cnót,
Na naszym wzrosły popiele.

Szczęście, za którym dzisiaj ty
Naprawdę tęsknisz i czekasz,
I nieziszczone wszystkie sny,
Wszystkie pragnienia — im przekaż!

Wzleć ponad własnej drogi kres
Z błogosławieństwem dla świata,
Co w pasmo błędów, walk i łez
Szlachetne dążenie wplata.

A snuć się będzie złota nić,
Chociaż ty spocziesz w mogile...
I będziesz nowem życiem żyć
W młodzieńczej barwie i sile...

Będiesz — gdzie ludzkiej myśli zdroj
W niepowstrzymanym rwie biegu...
Gdzie się rozstrzyga duchów bój,
W walczących staniesz szeregu;

Gdzie płynie skargi rzewny głos,
Tam będziesz — i będziesz z temi,
Co chcą polepszyć ludzki los
I przynieść szczęście tej ziemi.

I do wieśniaczych zstąpisz chat
Uczucia budzić nieznane...
Więc nie oplakuj swoich strat,
Uciszyć się, serce stroskane!

Anielskie chóry.

Anielskie śpiewają chóry
W gwiazdzistym błękitów morzu,
Wśród nocnej ciszy, przy łożu
Sennej natury.

Śpiewają tej biednej ziemi,
Co wiecznie w śnieżnej żałobie,
Jak matka płacze na grobie
Za dziećmi swemi.

Śpiewają ludziom, co dyszą
W codziennym a krwawym trudzie;
Lecz biedni, zmęczeni ludzie
Pieśni nie słyszą.

I tylko ci, którzy toną
W wielkiej miłości pragnieniu,
Ci słyszą w serc swoich drzeniu
Tę pieśń natchnioną!

Siedzi ptaszek na drzewie.

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje;

Bo szukają dokoła
Tam, gdzie nigdy nie bywa.
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa;
 Trwonią życia dzień jasny
 Na zabiegi i żale:
 Tylko w piersi swej własnej
 Nie szukają go wcale!
W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie —
Aż zmęczeni i smutni
Idą przespać się w grobie.
 A więc, siedząc na drzewie,
 Ptaszek dziwi się bardzo;
 Chciałby przestrzedz ich w śpiewie...
 Lecz przestrogą pogardzą.

Huczy woda po kamieniach.

Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie:
Nie sądz ludzi po zachceniach,
Ale prawdy szukaj w czynie.

Kto prawdziwie czuć niezdolny,
Ten się szumem słowa pieści:
Potok głośny, a swawolny,
Mało wody w sobie mieści.

Lecz spokojnej cisza toni
Zwykle wielką głąb zwiastuje:
Na wiatr uczuć swych nie trwoni,
Kto głęboko w duszy czuje!

Wy się skarżycie?

Wy, ulubieńcy losu i wybrani!
Którym pogodne śmieją się błękity —
Wy się skarżycie, gdy wam stopę zrani
Cierń, pośród kwiatów ukryty;

Gdy wam zabraknie słodkiej szczęścia rosy,
I pierwszą gorycz przyniesie wam życie —
Na świat i ludzi i na swoje losy
Wy się skarżycie!

Zapominacie o swym dniu słonecznym,
I obejmując wszechświat w złorzeczeniu,
Bunt podnosicie przeciw prawom wiecznym,
Przeciw istnieniu!

Lecz ci, co wzrosli w twardej z losem walce,
Wprzęgnięci w jarzmo trudów i niedoli,
Ci nie zważają, że cierń krwawi palce,
Nie myślą o tem, co boli.

Chociaż w świat idąc pod nieszczęścia strażą,
Widzą, jak wszystkie nadzieje im gasną —

Ci nie zlorzeczą, ani się nie skarżą
Na dolę własną.

Owszem, gdy znajdą po swym krwawym znoju
Chwilę wytchnienia, z wszystkich chwil najrzadszą,
Z błogiem uczuciem wiary i spokoju
W niebiosa patrzą.

Bez granic.

Potoki mają swe łoża,
I mają granice morza
Dla swojej fali;
I góry, co toną w niebie,
Mają kres dany dla siebie,
Nie pójda dalej!

Lecz serce, serce człowieka
Wciąż w nieskończoność ucieka —
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie;
I wierzy, że w swoim łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

Dałam ci moc.

Dałam ci moc nad sercem ludzi,
Moc, której próżno przeczą,
Gdyż ona łączy i zachwyty budzi,
Wstrząsając piersią człowieczą.

Piękności czar — ten nie przeminie,
On wieczną jest potrzebą;
I ludzki duch wciąż po nim płynie,
W błękitne patrząc niebo.

Piękności czar — ten zawsze będzie
Nad światem dzierżyć władzę,
I swoją woń rozsiewa wszędzie
Kwiat każdy, co zasadzę.

Niechaj więc chłód i cisza głucha
Wśród świata cię nie ziębi:
Najlepszy siew twojego ducha
W serc cichej wszędzie głębi.

Tych śpiewnych brzmień, co ja poruszę,
Niepamięć na pogrzebie;
Lecz choćbyś dał swą całą duszę,
Nie żądaj nic dla siebie.

Nie żądaj nic od biednej rzeszy,
Zmęczonej życia znojem:
Ty rzucaj blask, co ją pocieszy,
I sercem nakarm swoim.

Idź sobie w grób, nieznanym światu,
Bez żądy sławy próżnej,
Bez wieńców róż, bez mirtów kwiatu,
Bez bratnich łez jałmużny.

Ziszczenia snów, owoców trudu
Nie pragnij tu oglądać:
Dałem ci moc nad sercem ludu —
Nie możesz więcej żądać!

Daremne żale.

Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne zlorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda, idąc wstecz,
Zniknionych mar szeregu:
Nie zdoła ogień, ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe —
A nie w uwiedłych laurów liść
Z uporem stroić głowę!

Wy nie cofniecie życia fall!
Nic skargi nie pomogą!

Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

Precz ze zwątpieniem.

Precz ze zwątpieniem, co łamie
I męskich pozbawia sił —
Niech targa skrwawione ramię
Łańcuch, co w ciało się wpił.
Precz z małoduszną rozpaczą,
Nie wolno rozpaczać nam!
Niech myśli zuchwale skaczą
Do niebios zamkniętych bram!
Niechaj nas klęski nie straszą,
Niech hasło bojowe brzmi:
Za naszą wolność i waszą!
Za przyszłych braterstwo dni!
Powoli światło się wciska
I dalej posuwa w głąb...
A jak Jeryho w zwaliska
Od dźwięku runęło trąb,
Tak runie w świetlanej zorzy
Więzienia ponury gmach...
I ludzkość oczy otworzy,
Po przykrych zbudzona snach.
Więc w naszym krwawym pochodzie
Zwątpienie i rozpacz precz!
Ze szczęściem ludzkości w zgodzie
Uchwyćmy duchowy miecz.

Chociaż nas wrogi opaszą,
Niech hasło bojowe brzmi:
Za naszą wolność i waszą!
Za przyszłych braterstwo dni!

Epaminondas ¹⁾.

W chwili zwycięstwa wśród walczących tłoku
Żelazny grot utkwiał w jego boku,
I przeszył pierś i pozostał w ranie...
Na tarcze swe wzięli go Tebanie
I do namiotu zanieśli. Obficie
Krew uchodziła, a z nią razem życie.
Wódz podniósł głowę i na orszak zbrojny
Badawczo wzrok rzucił niespokojny.
Trwoży go boleść, na twarzach wyryta:
— »Czy ustał bój? — niecierpliwie pyta —
Czy z rąk nam pewne zwycięstwo wydarto?«
Odrzekli: — »Wszystko skończone ze Spartą,
I nadal jej dziś zwycięskie Teby
Nie będą miały lękać się potrzeby.«
— »Skądże więc żal w waszych sercach gości,
Zamiast tryumfu, dumy i radości?«
A na to w głos rzekną mu rycerze:
— »Najszlachetniejszą los nam zdobycz bierze,
Gdy żywot twój, tak ojczyźnie drogi,
Uciekające zabrały nam wrogi...
I szkoda nam twych dni, pełnych chwały,

¹⁾ Epaminondas — wódz tebański w IV w. przed Chr. wyzwolił miasto Teby i Grecyę z pod jarzma Sparty.

Pod których tarczą Teby zwyciężały, —
I smutno nam, że tak bez potomków,
Którymbyś sławę przekazał wśród ziomeków,
Odpływać masz na posępnej łodzi...
Wszak cenić życie wszystkim nam się godzi?«
— »I ja też cenię — z dumą wódz odpowie —
Ów życia dar, który nam bogowie
Zsyłają na to, by wśród przeszkód wielu,
Wytknąwszy cel — prosto iść do celu
I zbierać słodycz, po drodze rozlaną,
I jasność nieba podziwiać różaną.
Jam ten dar cenił — bo kto w swojej dumie
Pogardza nim, pewnie ten nie umie
Żyć i umierać. Lecz dlatego właśnie,
Żem cenił życie — teraz, kiedy gaśnie,
Bez żalu mogę rzucać jasność słońca,
Widząc je czyste i piękne do końca.
Ginąć w sam czas, wśród walki zwycięskiej —
To najpiękniejszy koniec pracy męskiej;
I bardzo mnie obdarzyły nieba,
Dając i żywot i zgon, jaki trzeba.
Pięknie mi przeszedł cały wiek młodzieńczy,
A teraz jeszcze najpiękniej go wieńczy
Chwalebna śmierć, która pracownika
Strudzone oczy pod wieczór zamyka.
Nie schodzę przytem z świata bezpotomnie:
Mam dwie córki — te zostaną po mnie...
Leuktra jedną, Mantinea ¹⁾ drugą —
Te będą żyć po mym zgonie długo.«

¹⁾ Leuktra i Mantinea dwa miejsca, w których Epaminondas odniósł zwycięstwa nad Spartą.

Przyjście Messjasza.

I.

Lud, czekający na swego Messjasza,
Nie zwróci oczu na dziecinę małą
I do biednego nie zajrzy poddasza:
Mniema, że Zbawcę, którego czekało

Tyle pokoleń, ujrzy ziemia nasza
Odrazu ziemską okrytego chwałą,
Jak na wojsk czele niewiernych rozprasza;
Mniema, że wszystko będzie przed nim drżało;

Ze nawet głowy ugną się książęce,
Zdając mu władzę nad światem... więc, jeśli
Usłyszy, że się narodził w stajence,

I że mędrcomie dary mu przynieśli —
Pyta ze śmiechem: »Jako? ten syn cieśli
Ma rządy świata ująć w swoje ręce?»

II.

Nawet ci wszyscy najwierniejsi uczniu,
Którzy do końca w swym Mistrzu widzieli
Zbawienie świata i światłości jutrznię,
Gdy na śmiertelnej ujrzą go pościeli,

Z przebitym bokiem przez żołdaków włócznię, —
Gdy archanielskich nie widząc mścicieli,

Widzą, jak zgraja wrogów się weseli
I jak swój tryumf święci teraz hucznie:

To i ci, z twarzą przerażeniem zbladła,
Zwłoki w grobowe tuląc prześcieradło,
Zwątpią o prawdzie słów Boskiego męża,

Trwożąc się w duchu, że wszystko przepadło...
A on tymczasem bez wojsk i oręża,
Po swoim zgonie — idzie — i zwycięża.

III.

Choć krzyżowany przez odstepców roty,
W sercu Ludzkości umiera na nowo,
I z szczytu swojej niebieskiej Golgoty
Na chwilę w otchłań zapada grobową, —

A świat, straciwszy promień prawdy złoty,
Drogę zbawienia i żywota słowo,
Krzyk rozpaczliwy podnosi sieroty,
Patrzając na mękę pokoleń dziejową: —

On spełnia dalej odkupienia dzieło,
I to, co w krwawej bezprawia powodzi
Pod znakiem Jego walcząc, zatonoło,

Wraz z Nim w postaci doskonalszej wschodzi...
I zanim grobu łono się zamknęło,
W sercu Ludzkości Bóg się znowu rodzi.

IV.

Kroczący skrycie w dziejowym zamęciu
Bóg, spodziewaną nie nadchodzi drogą;
Blaski, na niebios widne firmamencie,
Łuną pożarów okazać się mogą.

I te nadzieje, których się zawzięcie
Czepiamy sercem, mszczą się na nas srogo;
Tymczasem zbawczej idei poczęcie
Niedostrzeżonem bywa przez nikogo...

Chociaż na ziemię zstępuje jak bóstwo,
Szydą z niej sobie małoduszne zgraje,
Widząc pozorną słabość i ubóstwo —

I musi przenieść prześladowań mnóstwo,
I śmierć na krzyżu; lecz gdy zmartwychwstaje,
Podbija ludy i zdobywa kraje.

Nad głębiami.

V.

Gdy nas ciemności otaczają wszędzie,
W swej zacieśnionej zatrzymując sieci,
Wzrok nasz nie sięga za drogi krawędzie,
I nie pytamy: Co za nią? jak dzieci.

Lecz niech kto światło na drodze roznieci —
To, choć wzrok szerszy widnokrąg posiędzie,
Dokoła miejsca, które blask oświeci,
Otchłań ciemności jeszcze większą będzie.

Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,
W miarę, jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,
Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie...

I to, co dostrzedz możemy, jest niczem
Przed tem nieznanem, skrytem, tajemniczem,
Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

XIII.

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko
W dawnej postaci, — jednak nie umiera:
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko
I świeże kształty na siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasnych żywotów staje się kołyską.

Zawsze z tej samej życiodajnej strugi
Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;
Żywi nas zasób pracy plemion długiej,

Ich miłość, sława — istnienie nam krasi;
A z naszych czynów i z naszej zasługi
Korzystać będą znów następcy nasi.

XV.

Na dzieci spada win ojcowskich brzemie,
Lud pokutuje za grzechy zbrodniarza;
Kaźde gwałcące sprawiedliwość plemię
Cierpień i nieszczęść ludzkości przysparza.

Złe, jak zaraza, wlot obiega ziemię...
A czy na sobie łachman ma nędzarza,
Czy też w książęcym kroczy dyjademie —
Zatrutem tchnieniem cały świat zaraza.

Wobec praw, światem rządzących wszechwładnie,
Nikt ujść nie może złych wpływów przekleństwa, —
Każdemu w dziele część winy przypadnie,

Nawet za cudze zbrodnie i szaleństwa;
Bo każdy nosi w duszy swojej na dnie
Odpowiedzialność wspólną człowieczeństwa.

XVI.

Dzień, w którym jeden z grzesznych braci koła,
Najświętsze prawa zdeptawszy niegodnie,

Rozpalił krwawą pożarów pochodnię,
Widziadło mordów na ziemię przywoła

I zaćmi światła narodów przewodnie —
Dzień ten jest klęską dobrego anioła;
I ludzkość cała, chyląc kornie czoła,
Winna za syna pokutować zbrodnie;

Winna obchodzić we łzach i żalobie
Grzech, który nową klątwą ją obarczy
I zwróci z drogi ku jaśniejszej dobie...

Powinna szukać przeciw złemu tarczy,
Poznaniem prawdy potęgując w sobie
Miłość, co środków zbawienia dostarczy.

XVII.

Co złość zniweczy, co występki zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi:
Upadłą Ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występnymi i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żórawi

Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca,

I coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

XIX.

Dopiero w związku z wszechświata ogromem
Człowiek granice istnienia rozszerza:
Na mocy swego z naturą przymierza
Już się nie czuje bezsilnym atomem,

Tonącym w wnętrzu nicestwa łakomem —
Lecz odzyskuje odwagę żołnierza,
Co wie, że za nim stoi armia świeża,
I że świat cały jest dla niego domem.

Jako cząsteczka tej wielkiej potęgi,
Co się rozciąga w nieskończoność wszędzie...
Może ogarniać wszystkie widnokregi,

Odczuć się w światów niewstrzymanym pędzie,
I na tle czasu wijącej się wstęgi
żyć w tem, co było, co jest, i co będzie.

XXII.

Naprzód i wyżej! przez ból i męczarnie,
Przez ciemną otchłań, przez śmierci podwoje,

Przez szereg istnień, padających marnie,
Lecą bez końca tłoczące się roje.

Senne zarodki, tkwiące w swoim ziarnie,
Głazy, zakute w bezwładności zbroję,
Czekają tęsknie na zbudzenie swoje,
Gdy je dreszcz życia przejmnie i ogarnie.

Naprzód i wyżej! w gwiazdziste ogromy
Prąd życia coraz przyspieszonym ruchem
Porywa z głębi bezwiedne atomy —

I w to, co było i martwem i głuchem,
Rzuca blask myśli, sam siebie świadomy,
Przenika światłem i wypełnia duchem.

XXVIII.

Ci, którzy jasność żegnają zniklioną,
Gdy burza całe zniweczyła żniwo —
Nad spustoszoną rozpaczając niwą,
Myślą, że wszystko ciemności pochłoną,

Dalszych rozkwitów mnożąc siłę żywą,
Tymczasem pod tą ciemności osłoną,
Pod dobroczynną martwości pokrywą
Tysiącem kielków drży już ziemi łono,

Ręką natury rozrzuconych skrzętną. —
W spowiciu nocy, w zimowej zamieci
Bijące wewnątrz nie ustaje tętno,

I życie w głębi walką wre namiętą,
By się wydobyć, kiedy je oświeci
Brzask nowych wiosen, lub nowych stuleci,

Sonet.

Zejdź, jasna jutrzni! rozlej światła strumień
Po ziemi, życia nowego spragnionej!
Złotym promieniem do dna ludzkich sumień
Sięgnij i blask im nadaj nieskażony!

Rozedrzyj mroczne przyszłości zasłony
I wstydem czoła wąpiących zarumień,
I oczom, chciwych zachwytów i zdumień,
Ukaż odrodzeń szereg nieskończony!

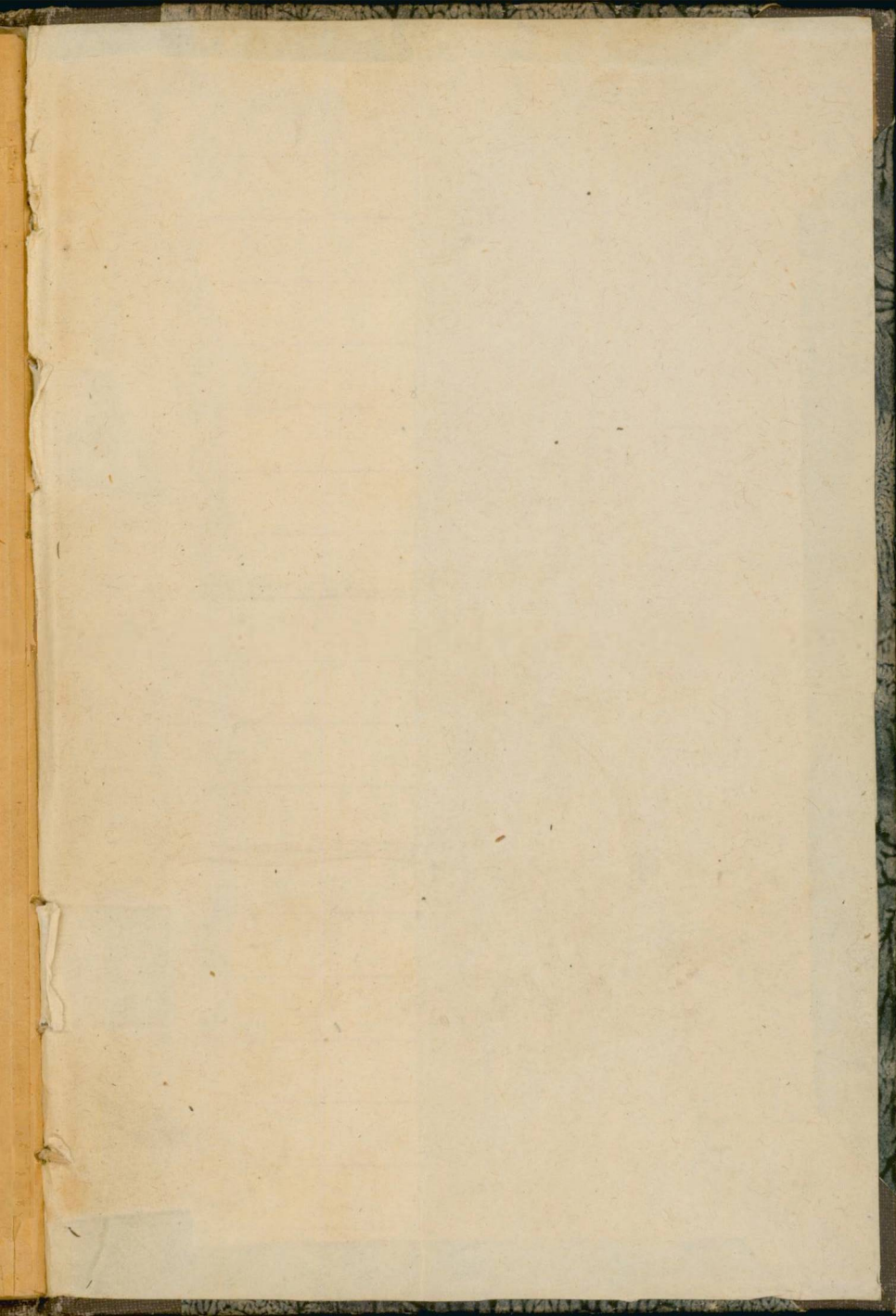
Zejdź, jasna jutrzni! Świat, przecuciem tknięty,
Z lochów, gdzie nędza z zbrodnią mieszka skrycie,
Z gmachów, gdzie orgja dopija swe męty, —

Wygląda ciebie w troskach, czy przesyci
I woła, dziwną tęsknotą przejęty,
O świeże, lepsze, szlachetniejsze ~~zyci~~



SPIS RZECZY.

	Str.
1 Ranek w górach	3
Ulewa	5
Letni wieczór	6
Noc w górach	7
Piękny jest ten świat	8
Słonko majowe	8
Na śniegu	10
W zimowej nocy	10
Pan Jezus chodzi po świetle	12
Ciche wzgórze	13
Słonko	14
Szczęśliwa młodość	15
Baśń tęczowa	16
Szkoda	20
2 Do młodych	20
Mgławice	21
Światła	23
Bóstwo tajemnicze	24
Nad przepaścią	26
Dwa anioły	28
Podczas burzy	29
Ucisź się, serce!	30
Anielskie chóry	32
Siedzi ptaszek na drzewie	32
Huczy woda po kamieniach	33
Wy się skarżycie?	34
Bez granic	35
Dałam ci moc	36
1 Daremne żale	37
Precz zę zwątpieniem	38
Epaminondas	39
Przyjście Messjasza	41
4 Nad głębiami: V. XIII, XV, XVI, XVII, XIX, XXII, XXVIII	43
Sonet	49



Biblioteka Gł. UWS Siedlce
nr inw.: KG - 582



582